

Ostatnie godziny ORP „Wicher”

Ppor. Hornung zaokrętowany zostaje na pokład ORP „Wicher” 20 marca 1939 roku, a więc na kilka miesięcy przed wybuchem wojny.

W owym czasie okręt ten stanowi część dywizjonu kontrtorpedowców, składającego się poza nim z „Gromu”, „Błyskawicy” i „Burzy”. Wraz ze stacjonującym m. inr. „Gryfem”, pięcioma okrętami podwodnymi i sześciu małymi trawlerami, stanowi zasadniczy trzon polskiej floty wojennej. Dowódcą „Wichru”, jest komandor-porucznik de Walden, stary, doświadczony dowódca. Jego bezpośredni przełożony, dowódca floty cumującej w Oksywii — to kontradmirał Unrug.

25 sierpnia wchodzi do Gdańska z oficjalną wizytą pancernik „Schleswig-Holstein”. Sylwetka krążownika góruje nad portem i wzniesione gorące dyskusje — będzie wojna, czy nie?

30 sierpnia około południa, z dowódcą floty przychodzi rozkaz odumowania. Polskie jednostki wypływają w morze; w porcie pozostaje jedynie „Wicher”. Przyłączony zostaje do obrony Wybrzeża, do dyspozycji dowództwa naczelnego.

Pierwsza walka

Sroda (30) i czwartek (31) mijają na przygotowaniu okrętu do wyjścia w morze. Wieczorem oficerowie grają w messie w brydża. „Czy to nie jest dziwne?” — odzywa się radio. To niemiecka szczeniacka z Królewca, nadająca propagandowy program w języku polskim. „Czy to nie jest dziwne, że polskie kontrtorpedowce widziano w okolicach Skagen?” Wśród słuchaczy konsternacja. „Też mi źródło informacji” — żartuje ktoś z obecnych.

O godz. 4 nad ranem załogę stawia na nogi okrzyk wachowego radio-operatora: „wojna z Niemcami!”. Na okręcie poruszenie. Kiedy będziemy walczyć?

Okazuje się, że już niedługo. Ok. godz. 7 rano następuje pierwszy atak trzech niemieckich myśliwców. Wywiązuje się krótka walka — karabiny maszynowe kontra artyleria przeciwlotnicza „Wichru”. Niemcy, nie zadając żadnych strat, odlatują.

Godz. 13. Pada rozkaz „odkotwiczcie!”. Z Oksywii wychodzą w morze okręty podwodne. Rusza także „Wicher”. W towarzystwie 3 trawlerów krąży po Zatoce.

Niebezpieczny ładunek

Wieczorem na pełnym morzu wyznaczona zostaje koncentracja floty. Dowódcy postanawiają, że w ciągu nocy „Gryf” wraz z trawlerami będzie minował teren Zatoki i wejście do portu Gdańsk. W kilka minut po zakończeniu narady Niemcy rozpoczynają nalot. Pod szczególnie silnym ostrzałem znajduje się „Gryf”. Zadaniem pozostałych jednostek jest ochrona stawianych min, mającego na pokładzie kilkanaście ton ładunku wybuchowego. Na nieszczęście

„Gryf” ma uszkodzony ster i nie może lawirować unikając bomb. Walka staje się coraz bardziej ostra, trwa już 20 min. Wreszcie Niemcy odlatują. Straty po stronie polskiej: zginął dowódca „Gryfa” kpt. Kwiatkowski, kilku dowódców trawlerów, jest wielu rannych. Zespół udaje się teraz do portu wojennego na Helu, celem uzupełnienia zapasów paliwa i amunicji. W morzu pozostaje „Wicher” na nocnym patrolu. Ma rozkaz asekurować „Gryfa” i trawlerzy minujące Zatokę.

Stracona okazja

Około godz. 2 w nocy z dnia 1 na 2 września oficer wachowy melduje: „widac nieznany krążownik”. De Walden ogła-

Wspomnienia te zostały spisane na podstawie opowiadań Zbigniewa Hornunga, b. drugiego oficera mechanika na zatopionym przez Niemców ORP „Wicher”. Ppor. Hornung był ostatnim z załogi, która we wrześniu 1939 opuściła pokład tonącego okrętu.

Spisał:
Andrzej BAJKOWSKI.

sza alarm bojowy. „Wicher” znajduje się w cieniu Wybrzeża, tamci go nie spostrzegają. Wspaniała okazja do ataku torpedowego! Ale pada rozkaz „nie strzelać! Mamy za zadanie ochraniać innych i nie wolno nam wdawać się w walkę”. Sylwetka krążownika wkrótce rozpływa się w ciemnościach. Pół godziny później w podobnych okolicznościach następuje spotkanie z dwoma nieprzyjacielskimi kontrtorpedowcami. I znów nie wolno przekroczyć rozkazu.

Jakież jest zdziwienie i rozpacz załogi „Wichru”, gdy nazajutrz rano, wchodząc do portu na Helu, widzą na kotwicy O. R. P. „Gryf”, który w nocy, jak się okazuje, nie minował morza. A więc właściwie nikogo nie ostrzegliśmy! I można było zatopić krążownik!...

Załoga wyokrętowuje zbędny, a niebezpieczny materiał wybuchowy: miny i bomby głębinowe. Nastroj ponury. Wszyscy przeczuwają, że niedługo nastąpi koniec. Niemcy przez cały dzień i noc prowadzą silne naloty. Celem nie jest jednak port wojenny, ale odległa o około dwa kilometry bateria artyleryjska im. Komandora Laskowskiego, naj-

potężniejsza wówczas na Wybrzeżu. Mieści się ona na końcu półwyspu Hel.

Wszystkie działa, zarówno „Wichru”, „Gryfu”, jak i baterii, prowadzą silny ogień do nieprzyjaciela. Przynosi on efekty. Po wojnie Niemcy przyznają się do 70 samolotów straconych podczas walk o Wybrzeże.

Pojedynek artylerii

Niemcy przypuszczają wi docznie, że zdołali w nocy zniszczyć obronę Helu lub przynajmniej osłabić ją znacznie. Następnego dnia około godziny 7 rano od strony Gdyni pełną parą zbliżają się dwa kontrtorpedowce, nie spodziewające się obrony. Błyskawicznie wybuchła walka artylerii. Niemcom udaje się osadzić na płytkim (na szczęście) w tym miejscu dnie basenu O. R. P. „Gryf”. Z kolei celnie strzela „Wicher” i uszkadza jeden z kontrtorpedowców. Drugi stawia zasłonę dymną, poczem oba okręty uchodzą. Po wojnie stwierdzono, że trafiony przez „Wicher” kontrtorpedowiec za tonął w pobliżu plaży w Brzeźnie.

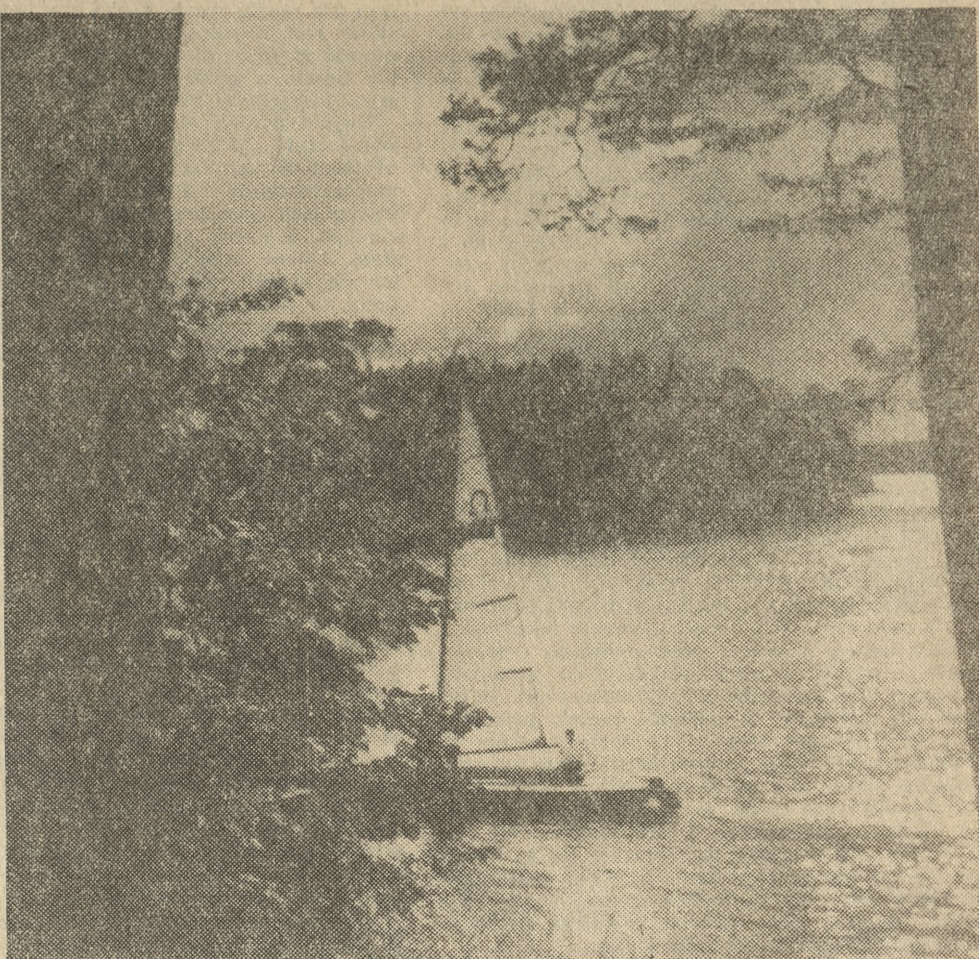
Około godziny 13 obserwator melduje: „na wysokości Gdańska widac przesuwające się jednostki — krążownik i 6 kontrtorpedowców”. Wiadomość wywołuje ogromne wrażenie. Przy takiej przewadze bitwa może mieć tylko jeden koniec. Rozkaz de Waldena wysłał większość 170-osobowej załogi na ląd: na pokładzie zostaje jedynie kadra oficerska i najniezbędniejsi ludzie.

Wszyscy czekają na atak, który jednak nie następuje. Do wódca artylerii por. Kowalski podbiega do dalmierza, wpatruje się w okular, po czym z przekleństwem zwraca się do nieszczęsnego autora meldunku: „Ach, ty bałwanie!”

Co się okazuje? Widoczne na horyzoncie „kontrtorpedowce” — to tylko niegroźne trawlerzy, krążownikiem są przesuwające się w Gdańsku wieże „Schleswig-Holsteina”. Powodem fałszywego alarmu było przemęczenie obserwatora. Ludzie nie śpią już trzecią dobę...

15.15 — 15.20

Ale już 3 września rozpoczyna się mordercza — i ostatnia — walka. Atak lotniczy Niemców jest tym razem straszny. Ppor. Hornung znajduje się w kotłowni okrętu,



Z ostatnich, ciepłych dni na Mazurach

na swoim stanowisku bojowym. Nagły wstrząs rzuca go na burzę. Po chwili wstaje, zapala lampę awaryjną. Okręt szybko pochyła się na prawą stronę. Zegarek na przegubie ręki Hornunga wskazuje godzinę 15.15. Hornung wraz z mechanikiem Soją wybiega na pokład.

Pierwszy widok: zniszczony i oderwany od reszty kadłuba dziób. Na maszcie — zmasakrowane ciało marynarza-sygnałisty. Nisko, tuż nad okrętem, przelatują samoloty z czarnymi krzyżami. „Wicher” tonie coraz szybciej.

Na pokładzie nie ma już nikogo. Soja skacze na falochron. W tym momencie potężny wybuch bomby, trafiającej w śródkreście, rzuca Hornunga na nadbrzeże. „Wicher” przewraca się całkowicie, ukazując swe czerwone dno. Trwało to tylko 5 minut.

Samoloty strzelają teraz do kryjącej się gdzieś kto może, załogi. Trwa to jeszcze chwilę, wreszcie tak nagle, jak przyleciały — odlatują. Słychać głos komandora de Waldena: „Załoga do mnie, ratować rannych!” Na szczęście jest tylko jeden zabity. Rannych jest więcej — dwudziestu.

Taki był koniec O. R. P. „Wicher”. Później wrak okrętu przeholowany został na wody Zatoki i tam zatopiony. W rocznicę śmierci polskiego kontrtorpedowca, dnia 3 września 1958 roku, w miejscu gdzie leży jego stalowy martwy kadłub, polskie samoloty zrzuciły do wody wieniec z białoczerwonych róż.

Proces lipski J. I. Kraszewskiego w świetle nowych badań

Czy Kraszewski był szpiegiem?

W marcu 1883 r. zarówno polska jak i obca prasa doniosła o nagłym aresztowaniu przez władze pruskie nestora polskich pisarzy Józefa Ignacego Kraszewskiego, któremu postawiono zarzut zdrady tajemnic państwowych na rzecz Francji. Od tych pełnych niepokoju notatek zaczął się słynny lipski proces, który tyle wywołał poruszenia wśród współczesnych i tyle postawił zagadek dla przyszłych badaczy.

Czy Kraszewski był istotnie winien?

Ówczesne społeczeństwo niepokoiła ta myśl. Siedemdziesięcioletni starzec był przecież dla wielu żywym symbolem sprawy obrony polskości i szanowanym w Europie pisarzem. Bynajmniej nie w zamierzonej przeszłości, bo w marcu 1879 r. czczono na Rynku w Krakowie 50-letni jubileusz jego pracy literackiej, wydając przy tej okazji pamiątkową księgę. Nagle nieposzlakowany w wielu oczach ideał runął z piedestału zamieszany w jakieś, tajemnicze sprawy.

Kariere w aparacie wywiadowczym traktowano wówczas z dużymi zastrzeżeniami moralnymi, bez względu na to, czym służyła interesom. Ci, którzy wiwatowali w Krakowie na cześć twórcy, którzy zachwycali się akcją jego komedii pt. „Miód kasztelański” wystawionej w świetnej obsadzie z okazji jubileuszu, odsunęli się teraz ze zniechęceniem.

„Żelazny kanclerz” Bismarck, stawiając Kraszewskiego przed trybunałem w rzędzie płatnych agentów, wymierzył swój cios nader celnie. Pisarz interesował go osobiście. Podejrzliwy i brutalnie tłumiący wszystko co polskie, kanclerz nie mógł pozostać obojętny w stosunku do człowieka, który umieszczał w prasie niechętne jego rządowi artykuły i w roku 1871 miał zamiar kandydować do pruskiego parlamentu na postać ziemi obok wadliwej obrony adwokata Saula decydująco wpłynął na wyrok, który mimo braku dostatecznych dowodów brzmiał: trzy i pół roku twierdzy.

Proces i wyrok załamały schorowanego pisarza. Kraszewski w więzieniu czuje się osamotniony. Jako chory zo-

staje wreszcie czasowo zwolniony za wysoką kaucją pieniężną dnia 7 listopada 1885 dla odbycia kuracji. Wyrzeka się złożonej sumy i do więzienia już nie wraca. Jest zresztą w tej chwili ruiną człowieka. Obok fizycznych dolegliwości trapi go poczucie, że jest bezustannie tropiony.

„Nie mieć nad głową dachu ni kąta na ziemi,
Być ściganym złoczyńcą, wzgardzonym tułaczem,
Przybędą się nazywać pomiędzy swojemi,
Zaczynać dzień od jęku, a kończyć go płaczem...” — uskarża się na los w ostatnim swym wierszu.

Kraszewski nie przyznał się w czasie procesu do swej działalności wywiadowczej, otrzymał ponadto dobre świadectwo z rąk komisarza policji drezdeńskiej, która nie podejrzana go zauważyła. Dziś, dzięki odkryciom W. Danka wiadomo, że Kraszewski istotnie zajmował się zbieraniem informacji wojskowych na rzecz Francji uważając Prusy za głównego wroga Polski.

Z wywiadem francuskim związał się pisarz już około 1871 r. Sprawa wysłała na jaw dopiero na skutek denuncjacji agenta Adlera, który współpracując z Kraszewskim usiłował wymusić od niego duże sumy za cenę zachowania tajemnicy, a gdy mu się to nie powiodło, postawił w stan oskarżenia Kraszewskiego i swego współpracownika byłego kapitana wojsk pruskich Hentscha.

Ostatnio sprawa dramatu polskiego pisarza zainteresowała naukowców z Instytutu Historii Państw Demokracji Ludowych w Niemieckiej Republice Demokratycznej, J. Kalischa i E. Hassenrucka. Jak okazało się z badań niemieckich uczonych, które zostały opublikowane w Zeszytach Naukowych Uniwersytetu im. Karola Marksa (Lipsk 1957 /58 z. 1/2), Kraszewski od dawna już był śledzony przez pruską policję. Dowodem jej zainteresowania osobą pisarza jest list prezydenta berlińskiej policji (widocznie nie ufano saksońskiej, Kraszewski mieszkał w Dreźnie) Madai'a do ministra spraw wewn. Puttkamera z kwietnia 1874 r., a

(Ciąg dalszy na str. 2)

Jacek Głazewski

WIERSZY

do was
— anteuszów odradzanych każdą chwilą
do was
czerpiących światło
(by zamienić je w sobie potrzebne przedmioty)

usługujący
i ci co przyjmują należności swoje
mieszkańcy fabryk
kościół
społeczeństw ulicznych

mieszkańcy wieczornych domów
mieszkańcy świątyni odpoczynku
mieszkańcy wędrówki niepotrzebnej

każdemu patrzę w twarz
wspinam się
do oczu
ust
gardła
powiedzcie gdzie jest moje miejsce
moje lepsze miejsce w czasie

przyjdę do was po raz ostatni
w jakąś chwilę
w niespodziany dzień
słowa nie będą potrzebne
powitania w pół ust zanikną
— poproszę tylko o chleb

zwykłym kęsem mnie nie oszukacie
nie spłaciecie fałszowaną krwią
pośród słońc będę stał jak łobuz
węsząc żer najwspanialszy — zło

gdy z podziału swoją część dostanę
za sobą drogi zwinę — smutny ptasi skwir
i odejdę — oszukańczy pielgrzym
który zabrał treść waszych dni

Barbara z trudem dopięła odświętną spódnicę. W lustrze obok swej zaokrąglonej sylwetki dojrzała wpatrzona czujnie oczy matki. Za chwilę dojdzie do tego, czego Barbara spodziewała się od tygodni — do decydującej rozmowy między matką a córką.

Od wczesnego dzieciństwa Barbara zaskakiwała rodziców. Już w ochronce św. Wincentego a Paulo siostra Maria twierdziła, że Basia wyróżnia się dziwną powagą. Ze szkoły przynosiła zawsze bardzo dobre stopnie. Ale nie to było zaskakujące. Basia — pozornie bardzo cicha i poważna, w istocie wiodła prym w swym środowisku. W przynależnym kole Dzieciątka Jezus była zelatorką, w szkolnym kole LOPP — przewodniczącą. Potem w gimnazjum została współredaktorem pisma międzyszkolnego, drukowanego i rozchodzącego się na trzy województwa. Matka Barbary nie omieszczała tej ważności swojej najstarszej córki podkreślać w każdej rozmowie ze siostrami.

— Basia wysoko zajdzie zobaczy Pani! — mówiły Tuliżkowskiej kumoszki.

Naręczony jeszcze bardziej urealnili horoskopy stawiane Basce przez otoczenie. Był kupcem, miał sklep. To, że piętnaście lat starszy od dziewczyny wcale nie obniżało wysokiej wartości na małżeńskim rynku. W oczach rodziny i otoczenia Basia naturalnie. Ona sama nie czuła jakoś wielkiej radości z powodu tego „szczęścia”. Schlebiała jej najwyżej wytrwała adoracja starszego, przeszło trzydziestoletniego mężczyzny, mile pachniał unoszący się wokół dymek podziwu. Musiała przynajmniej zresztą, że życie zyskało w tej nowej roli wiele uroku. Wprawdzie ad acta odłożyła chwilowo projekt studiów zaocznych, ale bywała codziennie w kawiarniach, kinach, na rewiałach, dancinгах i koncertach. Już nie tylko sąsiadki z oficyn nagabywały na jej temat matkę, ale nawet te z frontu. Pani doktorowa i sędzina wyrażali Tuliżkowskiej swój podziw dla przystojnego i przyzwoitego kawalera Barbary, dopytując ciekawie o termin ślubu.

— Ma czas, jest młoda — odpowiadała matka.

Basia naprawdę nie śpieszyła się. Mroził ją chłód rodziny naręczonego, która widać niezbyt chętnie aprobowała jego bezinteresowne zachwy-

ty na temat: młodość, szczerść, świeżość. Poza tym nie nęciła wcale bliska perspektywa obowiązków rodzinnych. W tym mniemaniu podtrzymywał ją ojciec, dowodzący wytrwale, że kobieta nie powinna wychodzić z domu przed dwudziestym pierwszym rokiem życia.

Wojna zwała się na rodzinę Tuliżków tak samo nagle, jak na tysiące innych. W trakcie bezmyślnej ewakuacji zgubili pierzyny i wiarę w mocarstwo. Tuliżkowska pomstowała na wszystkich „pasibruchów”, co to własne tylko wywoła, a naród zostawiają na pastwę losu i złym okiem patrzyła na Basę, bo naręczony też się ułotnił gdzieś w głąb kraju, wywołując część swojego towaru.

Tak upłynęły pierwsze, ciężkie tygodnie wojny, powoli wdrażając rodzinę Tuliżków w tryby

PRZEBUDZENIE

okupacji. Ojca z powrotem przyjęli na kolej. Barbara nie pracowała. Okupacja, dom, krewni, sąsiedzi — wszystko to stało się drugoplanowe. Wszystko przesłaniała wielka tajemnica Barbary. Poczuła się matką.

Świadomość tego cudownego faktu napawała ją podziwem, lękiem, a zarazem poczuciem buntu. Wiedziała, że tym razem zaskoczenie z jej strony będzie się równało dla Tuliżków klęsce wojny. Mimo to odrzuciła radę serdecznej przyjaciółki, polecającej znajomą akuszerkę. Odwlekała jednak chwile decydującej rozmowy. Chciała się do niej przygotować. Uzbudzić w argumenty. Dziś chwila ta nadeszła.

Była przygotowana. Pytanie matki smagnęło ją jednak jak biczem. W jego tonie wyczuła białą prośbę o zaprzeczenie.

— Jestem, mam.

Powiedziała to surowo i bezwzględnie, zdecydowana na wszystko. Starała się przy tym nie

patrzeć w twarz matki. Nie widziała więc, że Tuliżkowska zachwiała się i oparła ciężko o kanapę.

Przedtuzające się mlecznienie zaczęło ciążyć Barbarze. Spodziewała się wymówek, pomstowań i złorzeczeń. Chciała przecież walczyć. Spojrzała na matkę.

— O jej i tak prędzej czy później zostałaby mama babcią.

Wiedziała, że jest szorstką, ale nie potrafiła w tej chwili inaczej. Niech się matka lepiej złości, byleby nie milczała.

Tuliżkowska spojrzała na córkę jakoś bardzo żałośnie.

— Basiu, a może byś tak zepsuła?

Tym razem oniemiała Barbara. Więc matka — potępiająca kiedyś surowo biedną Stelmazyszkową, za jej pójście do „babu”, uchodząca wszędzie za wzór bogobojności, uczęszczająca codziennie na Mszę św. — ma dla swej córki dzisiaj tylko taką radę?

Z osłupienia wyrwało ją narastające oburzenie. — Ale dlaczego mam? — krzyknęła! Co by na to Pan Bóg powiedział?

— Pan Bóg ci to jakoś przebaczy, ludzie nigdy. Jak ja się im pokażę na oczy?

Barbara poczuła się jak człowiek, któremu usuwa się grunt pod nogami. Więc to tak... I na raz przyszła na nią chęć pustego śmiechu. Pochłapywanie matki. Mimo woli żał się jej zrobiło spracowanej kobiety. Przecież ją kochała.

— Mam nie płacz. Jeżeli o to tylko chodzi, to powiem sąsiadkom, że wzięłam ślub wojenny na odległość. Zobaczysz, jak się będą dziwowały. Tuliżkowska otarła oczy wierzchem dłoni.

— Mówisz? A może masz rację?

Barbara pocałowała matkę w rękę i szybko wyszła na ulicę. Chciała być sama. Była ogromnie zmęczona tą rozmową, do której przygotowywała się tyle dni. Przez dłuższą chwilę szła przed siebie bezmyślnie, apatycznie. Nagle wyprostowała się i przyspieszyła kroku.

— Tak, to była rzeczywiście najważniejsza rozmowa w moim życiu — pomyślała.

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

Czy Kraszewski był szpiegiem?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

więc na 9 lat (!) przed procesem.

Berlińska policja stwierdziła, że Kraszewski zwrócił się listownie do redaktora „Germanii” z prośbą o wskazanie korespondenta, który by dostarczał informacji o życiu berlińskiego dworu. Do listu Madai’a dołączono list pewnego agenta, który wyraził chęć współpracy z Kraszewskim starał się w rozmowie z nim wydobyc materiały kwalifikujące się do przesłania pruskiej policji. Czy był to agent polecony Kraszewskiemu przez redaktora „Germanii”? Trudno stwierdzić.

Kraszewski okazał się jednak w rozmowie bardzo powściągliwy. Niewiele mówił w sprawach dotyczących wywiadu. Agent w braku innych danych skwapliwie wynotowywał polityczne wyznania pisarza. Niechęć Kraszewskiego do Prus, jego zdanie, że Saksonia odnosi się do Prusaków z rezerwą, chęć Kraszewskiego, aby przez swe prace literackie pogłębić te niezbyt przyjazne stosunki, jego próby nawiązania kontaktów z dworem drezdeńskim, wszystko to zostało skrzętnie przekazane do Berlina. O innych sprawach, agent nie ma zbyt wyraźnego pojęcia. Z licznych aluzji i niejasnych propozycji snuje tylko domysły. Kraszewski wspomina jedynie, że potrzebuje korespondenta do pewnego francuskiego pisma i wysuwa (tylko dezzyderaty), jakich tematów należałoby w tych korespondencjach dotykać.

„Żadnych nazwisk” — skarży się agent — „nadzwyczajna ostrożność” w tej sprawie. Jako szczegół godny uwagi odnotowuje tylko, że pisać ma po włosku i że jego korespondencje przesyłane będą do Warszawy. Nie dziwny się dziś, że Kraszewski w ten właśnie sposób, drogą mistyfikacji i aluzji, zwykły był zyskiwać pracowników. Tak właśnie postępował z innym swym agentem, Kirkorem, dopiero znudzony jego niedomyślnością i nie mającą znaczenia bazarowaną wypałą mu wprost o czym ma pisać.

Za wszystkim kryją się jednak zagadki. Kim był i z czego jego polecenia przybywał szpiegiel? Dlaczego rząd pruski ma jakieś pewne podejrzenia i wyraźne poszlaki przeciw Kraszewskiemu aż do dziewięć lat zwlekał z procesem?

Prawda, wyniki rewizji w drezdeńskiej pracowni pisarza, gdzie Kraszewski od lat mieszkał, nie przyniosły policji pruskiej spodziewanych trofeów, ale przecież polityczne poglądy twórcy, jego reportaże rozsiane po polskiej prasie i naszpikowane wiadomościami o pruskiej armii chyba przynaglały rząd, którego dewizą było: zniszczyć wszystko co polskie. Akta Centralnego Archiwum oddz. Merseburg, skąd naukowcy niemieccy wydobyli wspomniane dwa listy być może kryją w sobie rozwiązanie niejednej jeszcze zagadki. Należałoby sobie życzyć, aby zainteresowania uczonych wschodnio-niemieckich nie wygasły i aby nawiązana współpraca przynosiła dalsze rezultaty. (ZAP)

Marian MAŁECKI



ŻYWYCH PORTRETÓW

JANINA MARISÓWNA

Fot.: G. Wyszomirska

to oczywiście pseudonim teatralny. W paszporcie i w recenzjach amerykańskich gazet, Marisównę zastępuje Janina Howorka, a amerykańscy reporterzy (pracujący wg zasady, że nie metryka lecz wygląd decydują o wieku kobiety) określili ją jako „22-letnią Polish — dramatic — actress” mimo, że:

• od 13 już lat współpracuje z teatrem, filmem, telewizją i „Estradą”, jako aktorka, spikerka lub reżyser.

• w r. 1944 ukończyła Wydział Aktorski Tajnej Szkoły Dramatycznej w Warszawie a w 1951 r. uzyskała tytuł magistra filozofii w zakresie historii sztuki na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego. Poza tym studiowała na Wydziale Reżyserkim w Wyższej Szkole Teatralnej u Leona Schillera, rysunku i malarstwa u prof. Wacława Taranczewskiego, tańca u Marcelii Hildebrandt-Pruskiej i u Wójcickiego skłono oraz śpiewu w Konserwatorium Muzycznym w Łodzi. Ostatnio studiowała zagadnienia teatru i telewizji na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

• jako aktorka debiutowała w 1945 r. w Teatrze Polskim w Poznaniu, później przez dwa lata grała u Schillera w Łodzi i w Warszawie. Posiada doskonałe warunki sceniczne i wyjątkową urodę, stale pogłębia przy tym swoje umiejętności i skalę artystycznego wyrazu. Wchłania jej rolę obejmując zarówno postacie: naiwnej dziewczyny, lekkomyślnego amantki, wyrażonej kokoty, tragiczki, czy wręcz brutalnej „esemesmanki” z filmu „Ostatni etap”. Ile posiada samozaparcia i jak silną wolę — świadczy fakt, że podczas występów z Niną Andrycz w „Cydzie” Corneille’a w Poznaniu — aby nie dopuścić do odwołania spektakli, grała ze złamaną ręką (bez gipsu).

• telewizja urzekła ją od początku powstania jej w Poznaniu. Była przecież pierwszą, którą ujrzeliśmy na poznańskim teleekranie (w charakterze spikerki). Później oglądaliśmy ją w różnych tele-studiach i audycjach telewizyjnych, ostatnio w sztuce

Szaniawskiego „Kowal, pieniądze i gwiazdy”. Podczas niedawnej po podróży na Zachód oglądała siebie (stylizowaną) na ekranie telewizji kanadyjskiej, a w Stanach Zjednoczonych zapoznawała się z pracą tamtejszych studi i redakcji telewizyjnych.

• coraz bardziej pociągają ją jednak reżyseria. Ostatnią jej pracą na tym polu to „Rozdroże miłości” Zawieyskiego. Reżyseria wymaga głębszego zaangażowania się twórczego i pozwala pełniej wykorzystywać osobiste, wszechstronne uzdolnienia.

• do bogatej kolekcji jej zainteresowań i twórczych poszukiwań należy również jej działalność... literacka, gdyż jest autorką scenariusza filmowego „Siostra Celina”.

Rodowita poznanianka, wysiedlona podczas okupacji do Warszawy, brała udział w powstaniu i została wywieziona do obozu w Niemczech, z którego uciekła i obłączenie Poznania przeżyła na Starym Mieście.

Od tego roku rozpoczyna się jej kariera życiowa i artystyczna. Dzisiaj, pełna optymizmu i radości, w pełni oddana sztuce, wolny czas poświęca dzieciom: 4 letniemu Edwardowi i 5 letniej Kindzie. Mimo że dużo pije (kawę) i pali, intensywnie uprawia różnego sportu a obecnie najbardziej pasjonuje się sportem samochodowym i często „pożera czas i przestrzeń” za kierownicą białego „Wartburga”. Jej hobby — to podróżować. Z mężem doc. dr E. Howorką zwiedziła całe Bałkany a ostatnio — od marca do sierpnia — przebywała w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Zachodniej Europie.

Z podróży za ocean Janina Marisówna przywiozła ogromną ilość wspomnień i wrażeń, kolorowych fotografii i — zapachu. A nowy sezon czeka już na nią za kurtyną Teatru Polskiego i za telewizyjnym ekranem.

Czesław KUBALIK

Poetycki debiut grupy „Swantewit”*)

Uderzającą cechą debiutanckiego tomiku poetów ze „Swantewita” jest brak jakiegokolwiek jednolitości artystycznej zamieszczonych tam utworów. Ani grupa poetycka wzięta jako całość, ani poszczególne jej członkowie z osobna nie stanowią na ogół określonych indywidualności twórczych.

Znając już niektóre utwory z prasy, z góry można było dojść do przekonania, że „swantewitowa” opozycja wobec „Wierzbaka” jest czysto taktycznej natury jedynie, a tytuł tomiku „Pięte strony świata” — to zupełnie mylący znak orientacyjny. W rzeczywistości bowiem jego autorom cztery strony najzupełniej wystarczają. Nie ma w tym moim stwierdzeniu żadnej przysady; chciałem tylko przy okazji przypomnieć, że bodaj najistotniejszą sprawą dla młodego twórcy jest umiejętność rozpoznania i określenia własnych dróg.

Gdyby umiejętność ta bardzo była ukształcona, może nie zapanowałaby w tomiku ów jakiś totalny amorfizm. Zasadniczym następstwem tego stanu rzeczy jest fakt, że w wierszach poetów „Swantewita” każdy odmienny rodzaj wartości treściowej nieuchronnie pociąga za sobą inny styl, co więcej: inne widzenie świata. Ta różnorodność zasad poetyckich skłócona z sobą w sposób zasadniczy, nierzadko w obrębie utworów sąsiadujących obok siebie, to oczywiście nie żadna wszechstronność. Mamy tu do czynienia po prostu z nieświadomym korzystaniem z konwencji zrosniętych z określonym typem wypowiedzi poetyckiej.

Zmierzam do bardziej szczegółowego uzasadnienia mego stanowiska. Żaden z młodych poetów „Swantewita” nie zdradza bynajmniej tendencji do ucieczki w „pięte strony świata”, przeciwnie: takie utwory jak „Serce” — Badowskiej, „Brzemienność” — Danielewskiej, „Ostrzeżenie” — Kubalika czy „Śmieszne małe troski” — Rynowickiego nie tylko świat istniejący analizują, ale określają ponadto w sposób jednoznaczny własną postawę poetów w stosunku do

niego. Co prawda nie rewelacyjną. Ale wiersze te, wyjąwszy Rynowickiego, to rozwodniona „siódma woda” po Rózewiczu retoryka. Tam, gdzie przechodzimy do innej dziedziny treści, tam króluje już inna poetyka, inaczej też, rzecz jasna, przedstawia się wizja świata.

Badowska, kiedy pozwala sobie na nieskoordynowaną gadaninę (bardzo szlachetną w intencjach — nie przeczę) w rodzaju „Metamorfozy” czy „Sylwetki” jest pełna litości, współczucia, humanitaryzmu. Kiedy natomiast będzie ukazywała świat na zasadzie dość pomysłowych przekształceń: ludzie — jako przedmioty, rze czy martwe — jako żyjące, staje się okrutna, zjadliwa i roznocna („Ulka”, „Ryby i dzieci”, „List”); nawiasem mówiąc mam wrażenie, że tu jest właściwy punkt wyjścia dla Badowskiej. Ale oto znów świat jako słodkie tło liryczne dla innej kategorii własnych

Wśród książek

przeżyć w „Pieśni” czy „Od-daniu”.

Ucieczkę od retorycznej próżni poetyckiej „Brzemienność” czy „Ludzie małych kawiarenek” stanowi dla Danielewskiej przytulna atmosfera „Biegunów dnia” czy „Krajobrazu słoty”. Ta sympatyczna mieszanina Galczyńskiego z Pawlikowską nie pozwala przynajmniej na pojawienie się w jej obrębie czegoś takiego jak: „trzęsienie przyjeżdża w łono kobiecą myślą strapioną”. Podobna dwoistość występuje u Kubalika. Albo kreuje on samotnego bohatera lirycznego, wokół którego krąży księżyc, gwiazdy, wieczory, tworząc układy nader banalne, albo beztrosko chłoczące „podości i zakłamania”, czasami w sposób ciekawszy („Spowiedź”).

Przyznać muszę, że zawiodłem się na zamieszczonych w tomiku wierszach Rynowickiego. Poeta ten wydawał się bliski osiągnięcia tego, co nazywałbym jednolitością poetycką wizji świata, której brak tak jaskrawo uwidocznił się w utworach jego kolegów z grupy. W „Śmiesznych małych troskach” czy „Oczekiwaniu” fundamentem tej jednolitości okazuje się umiejętność ulirycznienia zwykłych, codziennych realiów, umiejętność ustawienia ich w poetycki skrót my-

ślowy. Dzięki temu refleksja osobista, nastrój liryczny czy nawet tendencja moralizatorska nie występuje w „nagiej” retorycznej postaci — skrzepowa w swej agresywności autonomicznymi prawami obrazu poetyckiego. Ale niezbyt dobrze uszczelniona to poetyka, skoro do wierszy takich jak „Świadomość” czy „Posłanie” wcisnął się fałszywie brzmiały — (coż z tego, że szczerzy?) — patos.

Plaga, która zawsze prześladowała początkujących poetów, jest pewien typ dużej metafory o zabarwieniu symbolicznym. Sporadycznie ten drewniany symbolizm pojawia się u Badowskiej („Zdźbło”) i u Danielewskiej („Odpisy”), u Kubalika wreszcie („Poręba”), ale szczególnie często straszy u Sauer. „Poszukiwania”, „Los”, „Drzewo życia”, „Ręce i ludzie”, „Topiel” zbudowane są na zasadzie: zjawisko przyrody, sytuacja — jako dyskursywna para do osobistego stanu rzeczy. Anachroniczność tego chwytu tkwi w tym, że cała poetycka postać świata powoływana jest do życia tylko dla końcowego: „to tak właśnie jest ze mną”.

Nie sądzę, ażeby w „Piątach stronach świata” dokonana została prezentacja poetyckich osiągnięć członków grupy „Swantewit”; racją bytu tomiku jest raczej zorientowanie się jego autorów co do możliwości obioru własnego punktu wyjścia.

Jerzy KMITA

*) „Pięte strony świata”, Wydawnictwo Pozn., 1958.

Nowości „Wydawnictwa Poznańskiego”

Nakiadem „Wydawnictwa Poznańskiego” ukazały się w tych dniach dwie nowe książki.

„ŻELAZNY KRZYŻ” M. Turwida — to sześć opowiadań związanych tematycznie z Wielkopolską w okresie okupacji. Autor, mieszkający w Bydgoszczy, pochodzi z Wrześni i zna dobrze nasze województwo. „Żelazny krzyż” jest początkiem cyklu o naszym regionie i zainteresuje z pewnością wielu czytelników, zwłaszcza że tematyka okupacyjna związana z Poznańskiem nie znalazła dotąd szerszego literackiego odbicia. Cena książki — 15 zł.

„FRANKENSTEIN” M. W. Shelley (tłum. M. Goldmanna) jest pierwowzorem głośnego przed wojną filmu pod tym samym tytułem. Jest to pierwsze tłumaczenie powieści na język polski. Fantastyczna fabuła ukazuje tragiczny los istoty ludzkiej powstałej w laboratorium oraz dramat uczoności, który nie zdołał przewidzieć następstw swego niezwykłego odkrycia. Powieść, mimo że pisana w latach, kiedy nikt jeszcze nie myślał o możliwości energii atomowej, nabiera w dobie obecnej swoistej, aktu alnej wymowy. Cena — 16 zł.

MATEMATYKA

w angielskim browarze
i w polskim przemyśle

Mniej więcej dwadzieścia lat temu odwiedziłem w Londynie profesora Spławę-Neymana, który wtedy wykładał na Uniwersytecie Londyńskim. Utkwił mi w głowie pewien fragment tej rozmowy: prof. Spławę-Neyman opowiadał mi wówczas o czymś, co się zdarzyło przed laty mniej więcej czterdziestu, a więc łącznie (licząc od dziś) w przybliżeniu sześćdziesiąt lat temu. Ale to, co mi wówczas opowiadał prof. Neyman, jeszcze nie jest w Polsce aktualne.

A więc jakieś sześćdziesiąt lat temu pewna duża angielska spółka browarnicza zawarła umowę o pracę z nikomu wówczas nieznanym matematykiem Gossetem.

Po co jednak matematyk w browarze? Browar, jak wiadomo, dużo ma do czynienia z beczkami, każda beczka ma tę przykrą właściwość, że przedzie czy później starzeje się i odmawia posłuszeństwa, rozlatując się. Można tego niebezpieczeństwa uniknąć, dając beczce dość wcześnie dymisję. Jednak to trudna decyzja: tała porządna beczka, co z tego, że stara, jeszcze się wcale dobrze trzyma, po co ją dymisjonować, niech jeszcze pojedzie z piwem! Krótko mówiąc, szkoda beczki! Ale jeżeli zbyt długo beczka będzie pełnić swoją odpowiedzialną służbę, to „umrze” ona na służbie, a wówczas szkoda rozlanego piwa! Co ma robić dbały o koszty własne przedsiębiorstwo? Dla matematyka to sprawa jasna: 1) zebrać materiał statystyczny dotyczący beczulek „żywych i zmarłych”, 2) zbudować z tego materiału tabelę wymieralności beczulek i 3) na podstawie tej tabeli skalkulować optymalny wiek wycofania beczki z obiegu.

„Odkrywamy” nomografię

Od tamtych czasów minęło lat kilkadziesiąt, a pole zastosowań matematyki w przemyśle rozrosło się niebywale (co prawda, nie u nas). Nie bądnymy goślośniami, dajmy kilka przykładów. W wielu przedsiębiorstwach przemysłowych występuje potrzeba zupełnie elementarnych, ale stale powtarzających się masowo występujących obliczeń. Jak te obliczenia wykonywać? Wszędzie jedno jak, jeśli się nie dba o koszty własne. Jak najtańszej, jeśli się dba o minimalizację kosztów. Praktyka wykazuje, że takie łatwe, lecz masowe, nie wymagające wielkiej dokładności rachunki najlepiej wykonywać za pomocą nomogramy: na rysunek zawierający kilka skal prostych — lub krzywoliniowych przykładamy linijkę i odczytujemy wynik — gotowe! Praktyka wykazuje dalej, że w wielu średnich przedsiębiorstwach opłaca się mieć na stałe matematyka, który w miarę zmieniających się i narastających potrzeb opracowuje coraz to nowe nomogramy. Nomografia (czyli rachunek graficzny) — to tani i wydajny środek obliczeniowy w sam raz pasujący do kraju biednego, lecz uprzemysławiającego się w szybkim tempie. Czy mam jeszcze dodać, że w Polsce nomografia jest mało w praktyce uprawiana?

Trzeba wirtuozów „gry na elektronach”

Nie wszystkie potrzeby obliczeniowe przemysłu (zwłaszcza biur konstrukcyjnych) da się zaspokoić za pomocą rachunku graficznego. Są takie, gdzie warto użyć arytmetyki, są i takie, gdzie warto użyć cyfrowki elektronicznej. Sprawa budowy lub zakupu zagranicą cyfrowki elektronicznej ciągnie się u nas nieprzychylnie długo, myślę jednak, że pewnego dnia będziemy mieli jedną lub nawet kilka nowoczesnych cyfrowek. Mówi się, że to maszynowy genialny. Zgoda! Ale cyfrowka elektroniczna jest w tym samym sensie genialna, co fortepian Bechsteina. Bechstein jest w pełni wykorzystany tylko przez wirtuozów. Cyfrowka elektroniczna jest w pełni wykorzystana tylko w rękach wysoce kwalifikowanych i uzdolnionych matematyków — programistów.

Jednak zapotrzebowanie na matematyków nowoczesnie za-

ządzanego przemysłu wiąże się nie tylko ze sprawą środków obliczeniowych (od nomogramu po cyfrowkę elektryczną włącznie), ale i z meritum kontroli przemysłowej i planowania przemysłowego.

„Chłopski rozum” zawodzi w hucie

Doświadczenie (znowu poza Polską zdobyte) wskazuje, że w procesach produkcyjnych masowej i znormalizowanej niezbędne jest dla osiągnięcia jednolitego produktu stosowanie metody próbkowej polegającej na losowym pobieraniu próbek z „potoku” wytwarzanych dóbr, na badaniu takiej próbki i wyciągnięciu wniosków do całego „potoku”. Doświadczenie dalej uczy, że rolę pionierów w tej dziedzinie odgrywają raczej matematycy (oczywiście, przy ścisłej współpracy z inżynierami i statystykami-ekonomistami). W wielkich przedsiębiorstwach (np. hutniczych) problem racjonalnego zaplanowania przepływów międzyoddziałowych nie należy do spraw rozwiązywalnych na „prosty chłopski rozum”. Udoskonalenie takiego planu, to właściwa praca dla zespołu ekonomicznego złożonego z

Czy można zmniejszyć Morze Śródziemne?



matematyków i ekonomistów-statystyków.

Kalkulacja naszych maturzystów

1) Rodzice powiadają swemu dziecku — maturystyce: „Nie bądź frajer, masz zdolności do matematyki, to idź na politechnikę, zostaniesz inżynierem, będziesz „kimś”, zarobisz na życie, a jak pójdziesz na tę twoją matematykę, na uniwersytet, zostaniesz belfrem i będziesz miał ciężkie życie”.
2) Nie każdy maturzysta uzdolniony do matematyki ma zamiłowania i zdolności dydaktyczne potrzebne nauczycielowi. Etabłów pracowników naukowych w instytucjach matematycznych jest mało. Nie każdy wierzy, że etat taki zdoła być.

3) Powiada się maturzystom uzdolnionym do matematyki: „Zapisz się na studia matematyczne, nie chcesz być nauczycielem, nie będziesz. Jeśli nie zostaniesz po studiach pracownikiem nauki, pójdziesz jako matematyk do przemysłu. Przemysł państwa wy zatrudni chętnie wielu matematyków”.

Alé maturzysta, rzeczywiście, nie jest „frajer” i wie (już doszły do niego od starszych kolegów informacje), że z tym zatrudnieniem w przemyśle państwowym, to nie takie proste, że przemysł państwowy zatrudnia matematyka zdecydowanie niechętnie.

Sprawa jest jasna. Wiadomo skąd się biorą nie wykorzystane miejsca na uniwersyteckim studium matematycznym. Zapewne, że te nie wykorzystane miejsca, to strata dla naszego gospodarstwa narodowego. Jak ten stan rzeczy zmienić? Potrzebna jest akcja prowadzona z poczuciem odpowiedzialności. A taka akcja w naszych warunkach nie powinna polegać na (bezsensownej raczej) agitacji wśród maturzystów. Właściwą drogę wskazuje jedna tylko dyktawa. Więcej, dużo więcej w przemyśle ludzi umiejących wykorzystać w produkcji naukę i naukowe metody.

T. MÓZGOWICZ

PRABABKA EXPO 1950

Z okazji odbywającej się EXPO 58 warto przypomnieć o kilku jej „babbkach” i „prababkach”...

Pierwsza wystawa światowa została zorganizowana w 1851 r. w Londynie, w „Crystal Palace”. Było to nie lada wydarzenie w ówczesnym świecie cywilizowanym. Królowa angielska Wiktorja przyznała się nawet w swoich pamiętnikach, że podczas otwarcia wystawy była tak samo wzruszona jak podczas koronacji...

Liczne pawilony, specjalnie zbudowane dookoła wielkiego gmachu wystawowego, mieściły eksponaty wystawy światowej w Paryżu z 1889 r.

Czterdzieści państw wzięło udział w wystawie światowej w Paryżu w 1900 r. Wystawę tę zwiedziło 50 milionów osób. Jednym z eksponatów tej wystawy była... wieża Eiffla, zabytek z poprzedniej wystawy paryskiej z roku 1889.

W. Kor.

Kazimierz Kanitańczyk

DLACZEGO WINO PŁACZE?

Już biblijny Salomon, jeden z najbardziej uważanych obserwatorów i po trochu poeta, w swej Księdze Przypowieści tak przestrzega: „Nie patrz na wino, gdy się rumieni, gdy się rozjaśni w szklenicy barwa jego, a prosto wchodzi”.

Pełne aromatu i uroczego smaku jest wino szlachetne, rodzące się pod pogodnym niebem włoskim na stokach Wezuwiusza. Cenili je już smakoszki Pompei i Herkulanum. Gdy nalać je do „szklenicy”, na ściankach pucharu zaczyna wnet pojawiać się wspinające smużki, przechodzące u swego szczytu w kropelki. Kropelki opadają — „wino płacze”, „Lacrymae Christi”, „Lzy Chrystusowe”, oto imię, które wino przydała pełna poetycznego poletu wyobraźnia Włochów. „Płaczą” zresztą i inne wina, „ciężkie”: tokaje, malagi, madery...

Ciecz, jak wszelkie inne substancje, zbudowane są z cząsteczek. Cząsteczka znajdująca się we wnętrzu cieczy, otoczona jest innymi cząsteczkami-świadcami, mniej więcej równomiernie wokół niej rozlokowanymi. Stąd też siły przyciągania międzycząsteczkowego, oddziaływujące na nią, znoszą się praktycznie. Zupełnie w innym położeniu znajduje się cząsteczka na powierzchni. Siły międzycząsteczkowego oddziaływania skierowane są tylko ku dołowi. W wyniku tego cząsteczki powierzchniowe są ściśnione, tworzy się błonka, zdolna unieść pewien ciężar. Zjawia się napięcie powierzchniowe.

Położmy na powierzchni wody płasko żyłkę — nie utonie. Uda się to także z igłą, jeśli ręka nam zbyt silnie nie drży. Gdy jednak skierujemy żyłkę ostrzem ku powierzchni wody, wówczas przeono zbyt silnie na bardzo wazutłki wycinek błonki powierzchniowej, przecina ją i tonie.

A może zdarzyło się Wam letniego popołudnia podglądać znakomitego sportowca, trenującego i polującego na powierzchni stojącej wody? Jest to Nartnik Bagnowy, owad przynależny do rzędu pluskwiaków. Jest bardzo ruchliwy i kłasiwy. Nie on zresztą jeden korzysta z napięcia powierzchniowego w swoich sprawach.

Właśnie — dlaczego?

Pora jednak powrócić do płaczącego wina i wyjaśnić to sympatyczne zjawisko.

Wino, jak każda mieszanina wody i alkoholu, ma tym niższe napięcie powierzchniowe im jest mocniejsze, „cięższe”, bardziej alkoholowe. „Lacrymae” jest winem „ciężkim”. W okolicy ścianek kieliszka parowanie jest stosunkowo energiczniejsze niżeli we wnętrzu, w środku powierzchni. Jako lotniejszy, łatwiej uchodzi alkohol. Toteż na obwodzie spada stężenie alkoholu, zatem wzrasta napięcie po-

wierzchniowe, ciecz lepiej zwilża szkło, wspina się (wiskowatość), na pewnej wysokości ściga się w kropelki — mówimy, że wino „płacze”. Tak to do prostego zjawiska fizyko-chemicznego wyobraźnia ludzka dorobiła oprawę z legendy.

Jak w życiu tak i tu sprawy i zjawiska nakładają się jedno na drugie. I tak istnieje — dla przekory chyba — wiele substancji obniżających napięcie powierzchniowe cieczy. Dodane do cieczy, czynią to niekiedy bardzo energicznie. Nazywamy je kapilarnie czynnymi, powierzchniowo czynnymi.

Na przykład — mydło?

Zresztą napięcie powierzchniowe rozmaicie jest osadzone, jedni je chwala, inni mu przyganiają. Chwali je z pewnością Nartnik Bagnowy; my — nie zawsze. Jakże trudno np.

Nowości z kraju i ze świata

Rozwój nowego przemysłu atomowego stworzył nowe problemy: trzeba było np. pomyśleć o ubraniu ochronnym dla ludzi pracujących w bezpośrednim zasięgu działania substancji promieniotwórczych — tam gdzie muszą sięgać sami, bez pomocy „sztucznych rąk”. Nie był to łatwy problem, gdyż ubranie takie musiało izolować całkowicie człowieka od groźnego otoczenia, zapewniając mu równocześnie dopływ świeżego powietrza. Ubranie musiało być lekkie, odporne na wszelkie kwasy i rozpuszczalniki, łatwe do zdejmowania, no i tanie... Jednym z pierwszych — i dotychczas najbardziej rozpowszechnionych — materiałów ubraniowych jest chlorek winylu. Pod takie ubranie waz gumowy doprowadza powietrze. Obsługa posiada tam lotnicze mikrofony, a porozumiewa się poprzez kable. Specjalny filtr odprowadza powietrze. Ubranie to wazy ok. 2 kg. Wystarczy ono wprawdzie na krótko — po kilku godzinach pracy trzeba je wyrzucić — spełnia jednak i ostatni warunek: jest tanie.

„Tydzień Archiwów” zorganizowany w dniach 7-14 września wylonił poważny problem. Jakim jest zabezpieczenie oraz właściwa konserwacja zabytków archiwalnych. Nasze archiwa szczególnie dotknięte od czasu wojny, nieodpowiednie zaś przechowywanie ocalałych zabytków również naraża nas na nieodwracalne straty. W ostatnich latach Archiwum Główne Akt Dawnych wspólnie z Instytutem Chemii Przemysłowej prowadzi prace chemiczne i mikrobiologiczne, która stosuje racjonalną konserwację archiwaliów. Wśród szkodników archiwalnych niszczą robotę prowadzą pleśń i bakterie — a jest ich ponad 100 gatunków. Pożywką dla nich okazują się kleje, toteż ostatnio do kleju dodaje się antyseptyki. Pracownia chemiczna opracowała laboratoryjny sposób produkcji kleju syntetycznego na użytek archiwów. Walka z tymi szkodnikami jest trudna, gdyż niszczące je środki chemiczne nie powinny równocześnie niszczyć papieru, ani szkodzić personelowi. Pracownia prowadzi więc badania nad tymi środkami. „Chore ślaczki” zakazują swoje otoczenie, toteż stosuje się ich izolację oraz dezynfekuje się zakażone obiekty — owijając je m.in. w specjalne papiery oraz przekładając strony dezynfekowanymi bibułkami. Pracownia ma również komorę próżniową do dezynfekcji akt zatakowanych przez owady.

usunąć z naskórka ręki tłuszcz samą tylko wodą! Napięcie powierzchniowe nie pozwala. Należy je zmniejszyć lub zgolić usunąć; pomagają substancje kapilarnie aktywne. Są one z reguły źle w wodzie rozpuszczalne, ich cząsteczki gromadzą się przede wszystkim na powierzchni cieczy, w nikłym tylko stopniu rozproszone są w jej wnętrzu. Stłoczone w strefie powierzchniowej, rozpychają cząsteczki formujące błonkę napięcia powierzchniowego. Błonna zrywa się, napięcie słabnie, zanika.

Właśnie mydło to jeden z najbardziej pospolitych środków obniżających napięcie powierzchniowe. Stąd jego zastosowanie przy myciu i praniu, oraz — co ważniejsze — otrzymywaniu urocznych baniek mydlanych.

Także oliwa jest powierzchniowo czynna, rozlewa się cieniutką warstwą po powierzchni wody. Po dobieńta itp. Warstwa taka bywa niekiedy bardzo niska, czasem o „grubości” milionowej milimetra.

Czytaliście „Dzieci Kapitana Granta” Juliusza Verne’a? Przypominacie sobie jak uratowano „Duncana”, rozlewając oliwę na wzburzone fale? Jest to fakt dobrze znany z historii żeglarskiej. Ostatni bodaj na ten temat zabral głos w swym raporcie francuski admirał Cloué z r. 1887. Nowoczesne okręty są już mniej romantyczne i radzą sobie bez oliwy.

Wylana na fale oliwa tworzy warstwę likwidującą, przynajmniej czasowo, napięcie powierzchniowe; fale wiotczeją, przysiadają, można wtedy manewrować okrętem lub opuścić szalupy. Zjawisko jest niestety krótkotrwałe i szatański taniec fal szybko znowu się zaczyna.

Kamfora — odwrotnie: tańczy

Zresztą tańczą nie tylko fale, tańczy także kamfora — z tego samego zresztą powodu.

Umywszy starannie ręce, rozkruszymy nad powierzchnią wody kamforę. Pyłki kamfory

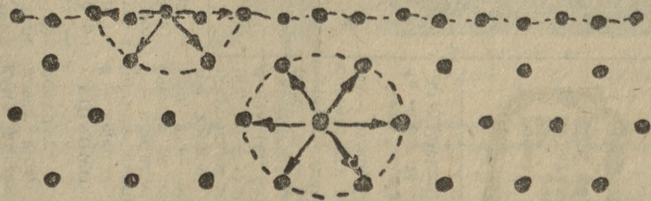


Nartnik Bagnowy znakomicie wykorzystuje zjawisko powierzchniowego napięcia.

zaczyna wirować. Kamfora usiłuje bowiem utworzyć na powierzchni wody własną warstwę kapilarną, o znacznie niższym napięciu powierzchniowym aniżeli napięcie wody. Błona napięciowa wody usiłuje zlikwidować, ściśnięć rozpiętą się warstwę kamfory. Powstają wiry, prądy, które uruchamiają taniec.

Substancje powierzchniowo czynne wypełniają najrozmaitsze funkcje. Choćby w leczeniu. Np. zaflegmienia dróg oddechowych mają stosunkowo wysokie napięcie powierzchniowe. Toteż dla ich usunięcia stosuje się środki wykrztusne, zawierające składniki kapilarnie aktywne: kreozot, mentol itp. A jeśli nie w smak Wam medykamenty, to pomyślnie o bitych śmietanie czy o pianie zagnanego piwa. Wszystko to należy do repertuaru napięcia powierzchniowego, jednego z wycinków chemii kapilarnej.

Naturalnie, że polaskotalimy załadować tę problematykę. Z drugiej jednak strony kieliszek szlachetnego wina zbliża do prawdy, która „prosto wchodzi”. I rozjaśnia sprawy nie tylko watlej piany, ale i wielkich spraw techniki. O tym może jednak innym razem.



Międzycząsteczkowe oddziaływanie na cząsteczki powierzchni cieczy, skierowane tylko ku dołowi, powoduje powstanie błonki napięcia powierzchniowego.

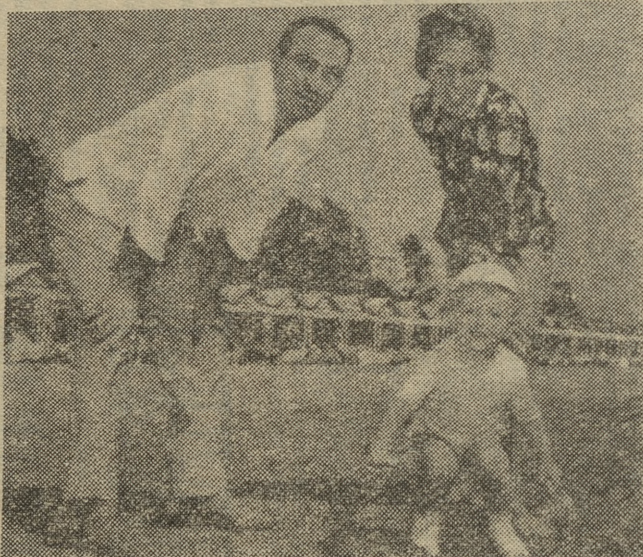
ZŁOT GWIAZDZISTY W WENECJI



Wielki reżyser francuski, honorowy przewodniczący festiwalowego jury, René Clair, umywa ręce; nie wie, czy po ogłoszeniu wyników...

Zakończony niedawno kolejny Międzynarodowy Festiwal w Wenecji nie wiele dał okazji do wielkich przeżyć artystycznych. Wielkich filmów, jak zapewne już wiecie, zabrakło. Natomiast nie zabrakło gwiazd.

Na festiwal zjechały wszystkie mniejsze i większe sławy ekranu obojga płci. Oto fotoreportaż z tego dorocznego „złotu gwiazdzistego” w Wenecji.



Carla del Poggio (znamy ją choćby z filmu „Rzym godziną 11”) oraz reżyser A. Lattuada najchętniej przebywali ze swym małym synkiem.



Natomiast Antonellę Luialdi widywano najczęściej w towarzystwie Franco Interlenghi (pamiętamy go jako młodzieńca z „Sierpniowej niedzieli”, który od tego czasu mocno wyrósł i gra rolę bardziej „dorosłą” w „Walkoniach”). Jak widać, również w Wenecji było bardzo gorąco...



Fot. „Cinemonde”

Oczywiście — przy takiej okazji zbieracze autografów mieli olbrzymie pole do popisu...



Dużym zainteresowaniem cieszyła się Silviana Pampalina (Mąż dla Anny Zaccaro)...

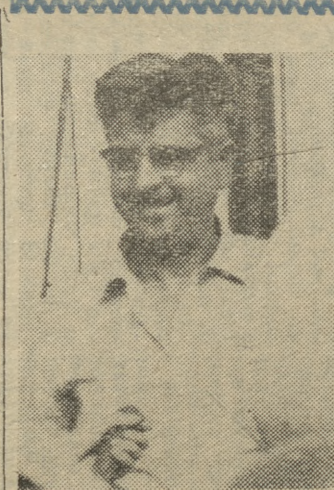


Z tajemnic starożytnego świata

Teksty pisane pismem klinowym usiłowano odczytać już w XVII w. Wówczas to podróżnik włoski Pietro della Valle przesłał do Europy kopie napisów klinowych. W kilkadziesiąt lat po nim, duński uczony Nebuhr przywoził informacje o tekstach klinowych. Tak jak i jego poprzednicy znalazł je w ruinach dawnego Persepolis, w szczątkach dawnego pałacu zburzonego przez Aleksandra Wielkiego. Teksty z Persepolis stały się kluczem odszyfrowania wszystkich innych napisów klinowych, odnajdywanych w ru-

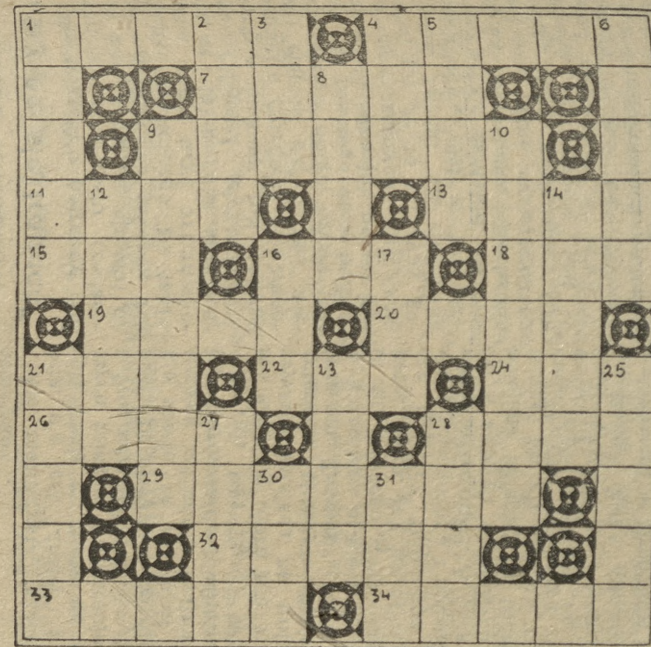
inach nad Eufratem i Tygrysem.

Odszyfrowanie tego niezwykle trudnego pisma było zasługą niemieckiego uczonego Grotfenda. Dokonał zaś tego wskutek... podjętego zakładu. W ten sposób powstała jego praca pt. „Przyczynki do objaśnienia pisma klinowego z Persepolis”, zgłoszona do Akademii w Getyndze. Uzasadniał on przede wszystkim, że znaki klinowe są pismem, a nie ornamentyką, jak sądzono dawniej. Trudno tu opowiedzieć szczegółowo o metodzie, jaką posłużył się w pracy Grotfend. Zauważył on np. stałe powtarzające się warianty znaków na początku tekstów — doszedł więc do wniosku, że może to oznaczać imię króla; badając dalej napisy, stwierdził, że chodzi tu raczej o dwie osoby panujące, występujące albo równocześnie, albo jedna po drugiej, co nasuwało myśl, że chodziło tu o ojca i syna. Postarał się następnie „przypasować” wybrane z listy królów z dynastii Achemenidów — o których wyczerpująco wspominali historycy greccy — imiona odpowiadające ilości znaków w wybranym słowie w napisie klinowym. Byli to Dariusz i Kserkses. Właściwe odczytanie imion umożliwiło mu poznanie dwunastu liter. Ze świętych ksiąg Persów poznał właściwe brzmienie ich imion i w ten sposób odgadnął język, w którym były pisane teksty.



Nazywa się „Dorothy Boylan”, pływa pod flagą amerykańską i przywiozła do Gdyni zboże. Kapitanem „Dorothy” jest Willam Gregory Gawronski. (na zdjęciu). Jego rodzice pochodzą z Polski — a on sam przyznał się już nieco łamaną polszczyzną, że czuje do kraju swych przodków wielkie sentymenty.

Okazuje się, że nie każdy kapitan jest „urodzonym” marynarzem. W. G. Gawronski, choć pływa już 31 lat i że w latach 1928—30 pływał z adm. R. Byrdem pod Biegunem Południowym, marzy o... małej fermie niedaleko Long-Island, koło Nowego Jorku.



KRZYŻÓWKA

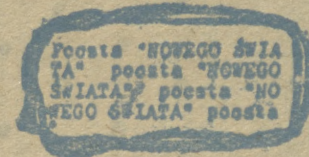
w układzie L. Rudkowskiego

POZIOMO: 1 — skład, magazyn, 4 — silnik, 7 — balkon, 9 — dowódca drużyny sportowej, 11 — port w Algierii, 13 — dziesięć po grecku, 15 — król pustyni, 16 — dowódca janczarów, 18 — płyn z owoców, 19 — demoniczny kościół, 20 — ogon sukni ślubnej, 21 — fundament statku, 22 —

„jak Wisła szeroka”, 24 — sieć, 26 — grecki Mars, 28 — barwa skóry, 29 — inscenizator, 32 — gęsta kurzawa, mgła, 33 — donośny głos, 34 — rewolwer bębnowy.

PIONOWO: 1 — czyści kłami, 2 — składnik gazu świetlnego, 3 — inicjały agencji prasowej (skrót), 4 — kapral w marynarce, 5 — zawieszona w ciele, 6 — dorodny koń, 8 — bokserska arena, 9 — nie żonaty, 10 — walczeczka z przyborami toaletowymi, 14 — gałąź, 16 — wulkan na wyspie Mindanao (Filipiny), 17 — proszek do czyszczenia, 21 — naszyjnik z pereł, 23 — półwysp nad m. Czarnym, 25 — reguła, norma, 27 — odcinki gry w tenisie, 28 — taksa, 30 — owad, 31 — dopływ Wisły.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 24 bm. z zaznaczeniem „krzyżówka”.



„Chrzan” Poznań. Dziękujemy za uwagi. Skorzystaliśmy z nich w formie dyskusji, niestety, uwagi są anonimowe.

E. Wiekliński, Poznań. Zdjęcie to zamieściliśmy za „Tygodnikiem Polskim” wychodzącym w języku polskim we Francji.

Ob. Piotr J., Poznań. Pisze Pan: „artykuł tak mnie wzburzył, że musiałem dać upust temu uczuciu skreśleniem następującego wierszyczka...” i tu następuje wiersz. Niestety, nie sądzimy, aby przeciw „wierzęciu chuligaństwa” po mogła mowa wiązana. I dlatego z wiersza nie skorzystamy.

Z. N., Poznań. „W tzw. sklepach nocnych panuje straszny tłok. A przecież byłoby inaczej, gdyby sklepy normalne były otwarte godzinę dłużej. Dlaczego tak się dzieje?” Mimo, że „Nowy Świat” raczej nie zajmuje się problemami handlu, również zastanawiamy się nad tym, i to od kilku lat. „Głos” zabierał w tej sprawie głos chyba kilkadziesiąt razy. Ale widocznie nasz handel sądził, że gdybyśmy kupowali bez kolejek, za bardzo by nam się w głowach przewracało...

J. P.



— A teraz przechodzimy do spełnienia życzeń naszych słuchaczy.

LAMKI w powiecie ostrowskim. Nazwa od łamać, a właściwie od lamki czyli cierlicy. To taki przyrząd do łamania lnu. Dawniej Lamki nazywały się Łamkami.

LIPNICA pow. szamotulski. Tutaj już prosto — od lip. W I połowie XIX wieku wioskę kupił kpt. Jan Mielżyński, ozdobiony Krzyżem Virtuti Militari przez gen. Kruszkowskiego za waleczność pod Grochowem (1831). W r. 1912 mieszkała tu Konstancja z Mielżyńskich Korzbok-Łącka. Ciekawil jesteście, dlaczego Korzbok-Łącka? Taka była moda.

A także w tym celu aby się odróżnić od Łąckich, nowobogaćkich. To tak, jakby



Kowalscy — rolnicy dla odróżnienia od Kowalskich — ślusarzy, nazwali się Superfosfat — Kowalscy, a drudzy Mutterka — Kowalscy.

LUBOCZESNICA pod Pniewami — ale nie od lubić, lecz od... Rybocześnicy.

LASEK pod Poznaniem —

tak jak Latalice — osada holerderska z XVII—XVIII w. Nazwa — od lasku.

LEDNOGÓRA — w powiecie gnieźnieńskim. Ściąga turystów z całej Polski pobliskie jezioro Lednica. Na wyspie tego jeziora znajdują się ruiny zamku z czasów Mieszka I i resztki jednego z najstarszych kościołów w kraju. W roku 1000 nasz Bolko urządził tu przyjęcie dla cesarza Ottona III, z którym potem razem pieśno wędrował na odpust do Gniezna.

W r. 1038 Bratysław czeski zniszczył zamek lednicki, a drugi raz uczynił to pobożni Krzyżacy. Dalszego zniszczenia dokonał czas.



...oraz nieoceniona i niezawodna, gdy chodzi o reklamę — Brygida Bardot.

Anegdota o Kiepurze

W czasie pobytu Jana Kiepury w Paryżu w roku 1934, po jego występie w „Opera Comique” nastąpiło po raz pierwszy zetknięcie się śpiewaka z Ignacym Paderewskim, świadkiem sukcesu Kiepury w operze.

Tuż przed spotkaniem zdarzyło się następujące zabawne wydarzenie:

Artyści operowi zebrali się w gabinecie dyrektora, aby go winać sukcesu naszemu śpiewakowi. Kiepusa zasiadł za biurkiem, co stało się powodem żartobliwych słów dyrektora:

— Doskonale, teraz więc pan zostanie dyrektorem na moim miejscu... A czy zechce mnie pan zaangażować na kilka występów?

— Owszem, jeśli pan sobie tego życzy — odparł na to równie żartobliwie Kiepusa. — ale przedtem chciałbym słyszeć jak pan śpiewa...

(h)